

Wpisowe do Towarz. (jednorazowe) 4 korony

Wkładka roczna członka 10 koron = 10 marek = 5 rubli.

ŁOWIEC

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Adres i bliższe wskazówki — patrz okładka inseratowa „Łowca".

Przypominamy, że wkładka roczna Członka Gal. Tow. łowieckiego, wynosi, począwszy od Nowego Roku K. 12.

W sprawie projektu zmiany statutu.

(Ciąg dalszy).

Co do proponowanej przez p. S. zwiększonej kontroli dzisiejszego Wydziału we Lwowie, przez poruczanie tych funkcji specjalnie kilku członkom Wydziału, to wybaczy Szanowny krytyk, ale w skuteczność tego właśnie środka pozwolę sobie wątpić. Bo jakże tych kilka członków Wydziału, znających zaledwie może kilka powiatów, może nad luźnie działającymi delegatami w 83 delegaturach, (któreby się przecie w takim razie zorganizować powinne) skuteczną spełniać kontrolę? Inną bowiem jest rzeczą spełniać kontrolę nad, że tak powiem, bezimiennymi Wydziałami powiatowymi, obowiązanymi do przedkładania w ścisłych okresach czasu sprawozdań, zamknięć rachunków i t. p. (§ 41. projektu), a inną zupełnie nad p. X. lub Y., który mandat delegata dlatego przyjąć raczył, aby odznaką kapelusz myśliwski ozdobić. Zauważyć też muszę, że taka kontrola mogłaby nawet czasem być i niesprawiedliwą, bo polegałaby ona wyłącznie na fakcie, czy delegat w czas przedłożył sprawozdanie. Uznaję wprawdzie, że złożenie sprawozdania jest jednym z najważniejszych zadań delegata (w projekcie zaś Wydziału powiatowego) ale zadania bynajmniej nie wyczerpuje, a czy te inne zadania delegat spełnia, czy n. p. czyni jakie kroki w sprawach łowiectwo obchodzących, o tem, w braku sprawozdania, Wydział mógłby się nie dowiedzieć, a więc mógłby wytknąć zresztą tęgiemu delegatowi opieszałość, lub mu nawet odebrać mandat, choć tego ostatniego, sądząc po dotychczasowej pobłażliwości Wydziału, obawiać

się prawdopodobnie nie można. Daleki jestem od tego, bym Wydziałowi, do którego sam obecnie należę, z powodu pobłażliwości dla delegatów zarzuty chciał czynić, bo Wydział, który w dzisiejszym stanie rzeczy zmuszony jest w razach opieszałości zwracać się do »osób« delegatów i ich osobiście dotykać, staje rzeczywiście niejednokrotnie w przykrem dość położeniu wobec delegatów, których sam właśnie zamianował. Daleko większą energję mógłby Wydział centralny rozwinąć odnośnie do Wydziałów powiatowych »bezimiennie« t. j. nie pod nazwą osób, ale właśnie pod nazwą Wydziału powiatowego tego lub owego powiatu działających, a przez ogół członków Towarzystwa tam osiadłych, wybranych.

ad 3. Że instytucja delegatów tak, jak ona jest pomyślana w przepisanym dla niej regulaminie jest organizacją luźną, o tem, sądzę, każdy przekonania nabrać może na podstawie samego regulaminu. Regulamin ten zawiera właściwie jedynie w § 2. ściślejsze postanowienie organizacyjne, przepisując tam podział powiatu na rejony myśliwskie.

Odtąd już właściwie delegaci mogą działać luźnie, mogą się między sobą znosić i porozumiewać, ale mogą też przestać się znać.

To też § 5. tego regulaminu czyni tylko przypuszczenie, że delegat, zwołując zjazd członków swego rejonu porozumie się z delegatami sąsiednimi i razem urządzą zjazd niejako na większą skalę. Jeżeli jednak jednego delegata od drugiego oddzielają nieporozumienia, różnica stanowiska społecznego i towarzyskiego, to członkowie w dwóch lub kilku rejonach, a tembardziej wszyscy w jednym powiecie zamieszkali o ogólniejszym zjeździe nawet marzyć nie mogą, bo delegaci do tego inicjatywy nie dadzą.

Pan S. uznaje ten regulamin jako bardziej dokładny, niż projekt nowego statutu; to prawda, że regulamin ten wiele rzeczy delegatom na sumienie kładzie, lecz czy kładzie on i czy wogóle kłaść może jaki inny rygor na zaniedbujących obowiązków delegatów jak rygor w § 16. statutu przewidziany, a w praktyce nigdy nie wykonywany? I zapytuję, czy można dokładnym nazwać regulamin, w którym dopiero praktyka dodaje pewne postanowienia organizacyjne, których w regulaminie brak?

Praktyka Wydziału bowiem dopiero wytworzyła zwyczaj, że delegaci na pierwszym zjeździe, mającym na celu podzielenie powiatu na rejony, wybierają z pomiędzy siebie seniora, na którego nakładają przedewszystkiem obowiązek utrzymania choć jakiej takiej łączności między delegatami tego samego powiatu i dopiero na skutek praktyki wytwarza się pojęcie i uciera nazwa »delegatura«, której nazwy w regulaminie ani razu nawet nie użyto.

Zauważyć jednakże muszę, iż wybór seniora nie usuwa najczęściej wszystkich trudności, bo to co wyżej powiedziałem o stosunku jednego delegata do drugiego, to samo zajdzie najczęściej i wtedy, gdy delegaci na jednego z pomiędzy siebie przeniosą obowiązek zbierania delegatów do wspólnych narad. Senior delegatów zwyczajnie przy pierwszej próbie zwołania delegatów stanie wobec pytania, gdzie to zebranie zwołać. Do siebie delegatów zaprosić nie chce, bo z tym lub owym delegatem nie utrzymuje stosunków towarzyskich, do miasta powiatowego, jeśli mieszka sam na wsi ich nie sprosi, bo albo sam nie wie, gdzie ich sprosić, albo musiałby osobno tam robić wycieczkę, by sobie zapewnić odpowiedni lokal, gdzieby posiedzenie na neutralnym terenie odbyć się mogło.

Przestrasza go podwójna mitręga wyjazdów i posiedzenie odkłada na lepsze czasy. I znowu delegatura się rozpada, a pojedyńczy delegaci zmuszeni są na własną rękę działać lub wogóle działać przestają. Każdy zaś chyba zrozumie, że powaga jakiej zażywa pojedyńczy delegat wobec władz, u których czegoś dla łowiectwa uzyskać trzeba, będzie chyba w najczęstszych wypadkach mniejszą niż powaga organizacji, szczególnie jeśli ta organizacja na to powołać się może, że występuje na podstawie mandatu, ogółu myśliwych, względnie członków Gal. Towarzystwa łowieckiego w powiecie osiadłych.

Możnaby obszerniej wykazywać zasadnicze błędy instytucji delegatów, na tem jednak poprzestanę, bo sądzę, że to wystarczy, by przekonać nieuprzedzonych, że nazwawszy na Walnem zgrodzeniu r. 1909 instytucję tę »zasadniczo błędną« nie powiedziałem tego na wiatr i lekkomyślnie.

Głęboko też przekonany jestem, że proponowane przez p. S. środki, zdążające do sanacji tej instytucji, nie zdołałyby celu osiągnąć.



Nowa ustawa łowiecka.

(Dokończenie).

Na koniec zachowałem rzecz najważniejszą. Wedle §. 62. cyt. ust. »za szkody, wyrządzone w ziemiopłodach przez niedźwiedzie i dziki, odpowiedzialni są uprawnieni do polowania w granicach swoich okręgów myśliwskich«. Przepis ten, pod pozorami niewinności, kryje ogromną niesprawiedliwość. Wyobraśmy sobie wypadek, bardzo łatwy i bardzo często się powtarzający, że właściciel latyfundjów leśnych, który w myśl §. 10. nowej ust. łow. wyłączył swoje grunta z obszaru polowania Spółki łowieckiej, który przeto jest właścicielem prawa polowania na swych gruntach, uprawnionym do wykonywania tego prawa — że właściciel taki w zupełności dzików nie tępi, ale je wprost hoduje u siebie. Dziki te, zawąchawszy na polach, do lasu jego przylegających, ziemniaki, noc w noc przychodzą tam i ryją je bez pamięci. Dzierżawca polowania, do którego ogręgu pola te należą, robi co może, aby je wytępić, ale bez żadnych skutków — w rezultacie więc musi płacić ogromne kwoty tytułem wynagrodzenia za szkody, zrządzone przez dziki, które on przecie wszelkiemi siłami stara się wytępić, a nie może, bo jest to dla niego niepodobieństwem fizycznem. Wedle §. 47: lit. a) dawnej ustawy łowieckiej (z dnia 5. marca 1897 d. u. i r. kr. L. 71.) w okolicach, gdzie dziki wyrządzały znaczne szkody, mogła polityczna władza powiatowa uznać odpowiedzialnym za te szkody właścicieli i dzierżawców polowania, którymby udowodnionem zostało, że dziki na swych obszarach hodują, lub że ich nie tępią, więc wedle dawnej ustawy szkody

o których była mowa wyżej, musiałby wynagrodzić ów opieszały właściciel polowania; nowa ustawa przeciwnie: nie zawiera wcale podobnego postanowienia i daje w ten sposób właścicielom polowań przywilej bezkarnego hodowania zwierzyny szkodliwej. Dopiero bowiem wtedy, jeśli dzierżawca polowania Spółki łowieckiej zapłaci w ciągu roku tytułem wynagrodzenia za szkody, wyrządzone przez dziki, kwotę większą niż dwukrotny czynsz dzierżawny i jeśli widocznem jest, że właściciel sąsiedniego okręgu polowania nie tępi zwierzyny szkodliwej, należycie — dopiero wtedy może ten dzierżawca polowania zażądać od Starostwa, aby zarządziło tępienie wymienionej zwierzyny na koszt owego opieszałego właściciela (§. 62. ust. ost., §. 49.). — Marna pociecha. Najpierw muszę zapłacić tytułem odszkodowania kwotę dwa razy przewyższającą czynsz dzierżawny, a dopiero potem Starostwo może zarządzić w lesie opieszałego właściciela polowania tępienie dzików na jego koszt. Oczywiście, nic go to kosztować nie będzie, bo »kwota uzyskana ze sprzedaży (zabitej zwierzyny szkodliwej) po pokryciu kosztów tępienia, zwróconą zostanie uprawnionemu do polowania« (§. 53. ust. 2.), więc temu właścicielowi polowania. Niemniej ja musiałem już zapłacić kwotę dwukrotnego czynszu dzierżawnego.

Jest jeszcze więcej, daleko więcej takich wad. Możnaby wiele powiedzieć o całym rozdziale IV. (przepisy o ochronie zwierzyny); możnaby zarzucić zbytnią »uczoność« całemu rozdziałowi VI. (postępowanie z powodu szkód wyrządzonych); możnaby wykazać niejasność §-u 66., wspomieć o §§. 45., 46. i t. d., — nie będę jednak tego wszystkiego rozważał, a przejdę do luk tej ustawy.

Pragnę się streszczać i wykażę tylko dwie luki.

Pierwsza: wedle §. 21. dawnej ustawy łowieckiej Zwierzchność gminna ogłaszała termin, w ciągu którego posiadacze gruntów mieli się zgłosić celem podjęcia udziałów, na nich z czynszu dzierżawnego za polowanie przypadających, a jeżeli poszczególni posiadacze w terminie tym się nie zgłosili, udziały ich przepadły na rzecz kasy gminnej. Natomiast wedle §. 37. ust. łow., roczny, czysty dochód, ewent. roczny czynsz dzierżawny z okręgu polowania Spółki łowieckiej należy rozdzielić między posiadaczy gruntów, w stosunku do posiadanej przez nich przestrzeni gruntów. Więcej nic. Wyobraźmy więc sobie, że przewodniczący Wydziału Spółki łowieckiej ogłasza termin miesięczny, i że w przeciągu tego terminu zgłasza się po odbiór przypadającej na nich kwoty tylko część członków Spółki, a reszta się nie zgłasza. Ponieważ ustawa nie przewiduje nic na wypadek, gdyby się posiadacze gruntów nie zgłosili, przewodniczący musi ustawę wykonać i musi im doręczyć ich udziały: przesyła więc chłopu jego udział pocztą, za przekazem naturalnie nieopłaconym. Dajmy na to, że na chłopa wypadało 15 hal., — wtedy musi chłop zapłacić za przekaz pocztowy 3 hal., za porto nieopłacone 20 hal., razem 23 hal., musi więc dopłacić 8 hal. Nonsens. Naturalnie trzeba sobie radzić inaczej. Radą na to jest uchwała Wydziału, aby czynsze, opłacane przez cały okres dzierżawy, składać na książeczkę kasy n. p. Raiffeisena, wystawioną na dobro członków Spółki łowieckiej in gremio, i dopiero po skończonym okresie dzierżawnym, kiedy się zbierze suma pokaźniejsza, sumę tę rozdzielić między członków. Ale to postępowanie jest obejściem ustawy — a zresztą i po skończonym okresie dzierżawnym suma ta może być zbyt małą, aby ją można było rozdzielić, znam bowiem polowania, za których dzierżawę płaci się 14, 12 a nawet 6 koron rocznie.

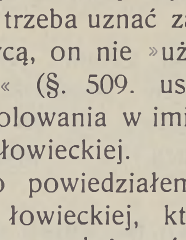
Druga luka: wyobraźmy sobie, że grunta gminne składają się z enklaw, wchodzących w obszar dworski, i że żadna z tych enklaw nie dochodzi do 115 ha przestrzeni. Właściciel obszaru dworskiego postarał się o utworzenie z nich odrębnego okręgu polowania, a po myśli §. 8. ust. łow. enklawy, złożone z gruntów gminnych, wchodzą w skład tego okręgu. Wtedy spółka łowiecka w gminie się nie tworzy — któż więc oznaczy wysokość czynszu za dzierżawę polowania gminnego, i do czyich rąk czynsz ten składać należy? Ustawa nie normuje tego wypadku wcale — ściśle więc biorąc, ów właściciel obszaru dworskiego nie powinien płacić nikomu żadnego czynszu. To przecie bije w oczy. — Możnaby zarzucić, że taki wypadek jest nieprawdopodobny — ale mam na to odpowiedź, że najpierw ustawa powinna przewidywać nawet najbardziej nieprawdopodobne wypadki, a następnie, że wypadek taki już się zdarzył w powiecie grodeckim.

Pragnę jeszcze wskazać na parę błędnych albo nieścisłych wyrażeń omawianej ustawy. Mowa w niej ciągle o warunkach »dzierżawy« (§. 21.) o rozwiązaniu »dzierżawy«(§. 23.) — wyrażenie nieścisłe, bo należy mówić o warunkach, o dotrzymaniu i rozwiązaniu »kontraktu dzierżawy«. Wspomniałem już o »kaucji na dotrzymanie warunków kontraktu«; powinno być: »kaucja na zabezpieczenie dotrzymania« tych warunków — mówiłem o pokryciu »szkód« zamiast »odszkodowań« i t. d. To wszystko ujdzie w mowie potocznej, ale w ustawie na to miejsca niema. Wspomnę o jeszcze jednej rzeczy: §. 24. cyt. ust. mówi o »użytkowaniu prawa polowania przez zaprzysiężonych myśliwych«; zaledwie parę wyrazów, a dwa nonsensy prawnicze. Jeżeli się wyjdzie z założenia, że członkowie Spółki łowieckiej »użytkują« prawo polowania za pośrednictwem myśliwych, to oni »użytkują« rzecz własną a wedle §. 509. ustawy cywilnej użytkować można tylko rzecz cudzą; jeśli przeciwnie, punktem wyjścia będzie że to zaprzysiężeni myśliwi »użytkują« prawo polowania — to również wyrażenie trzeba uznać za błędne, bo taki myśliwy nie jest użytkowcą, on nie »używa rzeczy cudzej bez żadnego ograniczenia« (§. 509. ust. cyw.), ale on tylko »wykonuje« prawo polowania w imieniu cudzem, w imieniu członków Spółki łowieckiej.

To wszystko, co powiedziałem wyżej, te wszystkie wady i braki ustawy łowieckiej, które — żałuję że dla braku miejsca, nie chcąc nadużywać gościnności »Łowca« zbyt pobieżnie wykazałem, — i te o których wspominam tylko, to wszystko jest wynikiem mięszania interesów politycznych do kwestji o jedynie prywatno-prawnym charakterze. Gdyby niepowołane a radykalne czynniki polityczne, pragnąc za każdą cenę okazać wyborcom wyniki jakiejś rzekomej pracy dla ich dobra, nie domagały się jakiejkolwiek, byle spiesznej zmiany dawnej ustawy łowieckiej, utrzymalibyśmy dotychczas tę dawną, daleko lepszą ustawę, przy życiu. A nową ustawę łowiecką uważam za niepotrzebną z gruntu; chłopi nie zyskali na niej nic, a dzierżawcy polowania stracili wiele.

Łozina, w listopadzie 1910.

Jerzy Gawroński.



Łowiectwo na Wołyniu.

(Ciąg dalszy).

W czasie prób i doświadczeń z hodowlą łosi powziął hr. Józef Potocki myśl aklimatyzacji jeleni amerykańskich i innych cerwidów.

W roku 1902. zakupiono w tym celu u Hagenbecka w Hamburgu jelenie amerykańskie (*Cervus wapiti canadensis*), dwa byki i 5 łań, z których dwie sztuki importowano wprost z Kanady, a w r. 1903 niżej podpisany wyjechał do Jenisejskiej gubernji na Syberji, celem zakupna drugiego gatunku jeleni marali (*Cervus maral*, *wapiti arialiens*), z których kupiłem byka i dwie łanie, a przy tej sposobności nabyłem sarny sybirskie (*Cervus pygargus*). W tym samym roku kupiono u Hagenbecka i w ogrodzie zoologicznym w Berlinie jelenie mandżurskie (*Cervus Dybowski*), ogółem 2 byki i 3 łanie.

Gdy w roku 1904. otrzymał właściciel, hr. Józef Potocki, w darze od cesarza Mikołaja II-go, żubry z puszczy Białowieskiej, skąd przywiozłem byka i dwie krowy, a próba aklimatyzacji jeleni wapiti, marali i pygargusów wypadła pomyślnie, rozszerzono obszar parku stopniowo do 3.000 hektarów i powiększono stan zwierzyny. W roku 1904. kupiono w ogrodzie zoologicznym w Berlinie jelenie perskie (*Cervus caucasicus vel persicus*), 3 byki i 3 łanie, oraz byka z łanią (*C. vapiti canadensis*). W roku 1905. zakupił hr. Potocki u Hagenbecka parę bizonów (*Bos bison americanus*). W roku 1907 urządzono ekspedycję do Syberji pod przewodnictwem łowczego, p. Pawłowskiego, po zakupno zwierzyny, gdzie na granicy irkuckiej gubernji kupiono 2 byki i 4 łanie jeleni (*Cervus maral*), oraz 5 sarn pygargusów.

Sprowadzona w r. 1907 z Wołogdy para reniferów wkrótce po przybyciu do parku padła; widocznie warunki klimatu i paszy dla tego gatunku zwierząt nie są odpowiednie.

Wymienione wyżej gatunki jeleni zaaklimatyzowały się w Pilawinie wybornie; płodność, wzrost rogów, wygląd ogólny nie pozostawia nic do życzenia, to też stan cervidów w dniu 1. lipca 1910 r. przedstawia się w cyfrach następujących:

Jeleni amerykańskich (*C. wapiti canadensis*)	szt.	74
„ syberyjskich (*C. maral asiaticus*) .	„	42
„ kamczackich (*C. Dybowski*) . . .	„	14
„ perskich (*C. caucasiensis vel persicus*)	„	17

Żubry białowieskie znalazły u nas również dobre warunki bytu, bo wyglądają lepiej, aniżeli w Białowieży, a nie gorzej, jak w Pless, a nadto z przychówku przybyły dwie sztuki, razem posiadamy żubrów 8. I w roku zeszłym otrzymał Józef hr. Potocki z cesarskiego zwierzyńca w Gatczynie, parę żubrów, wzamian za dwa byki jeleni amerykańskich.

Z zakupionej pary bizonów amerykanów, krowa nam wkrótce padła, musieliśmy u tej samej firmy kupić drugą; zaprzeszłego roku byk bizon został zabity przez jelenia wapiti, na jego miejsce otrzymał hr. Potocki innego, w darze od księcia Bedford z Anglji, drugiego zaś byka z wiosną 1908 r. kupiono w ogrodzie zoologicznym w Berlinie. Za trzy łosie wymieniano w b. r. 1 byka bizona z ogrodu zoologicznego w Petersburgu; niestety, wszystkie 3 byki padły od ciosów współzawodnika żubra, tak, iż obecnie pozostała nam tylko krowa bizona, która wydała nam na wiosnę z, r. cielaka, spłodzonego przez żubra, który przypadkowo ostrem źdźbłem przebił sobie wewnątrz nozdrze i z krwotoku zginął.

Właściciel, zachęcony dobrym wynikiem prób aklimatyzacyjnych, zwiększył w roku zeszłym rodzaje cervidów nabyciem następujących, nowych gatunków. Nabyto w Semipalatyńsku byka i łanię jeleni Thian-schańskich (*Cervus songaricus)*, parę jeleni Turkiestańskich i dwie pary piżmowców (*Moschus moschiferus)*. Z tych ostatnich, para nam zaraz zginęła w kilka tygodni po przybyciu; druga para również gdzieś przepadła. Piżmowce są zwierzętami trwożliwemi; agent, p. Wereszczagin, który nam dostarczył tychże, opowiadał, że przy łowieniu giną one często wprost z przestrachu w rękach człowieka. W czasie tegorocznego połowu zginęło nam w ten sposób 14 sztuk. Zwiększono również ilość sarn uralskich, t. z. pygargusów. Z gubernii permskiej od p. Koziełł-Poklewskiego otrzymaliśmy 25 sztuk i nabyliśmy osobno sztuk kilkanaście, tak, że jeden transport, prowadzony przez łowczego, p. Pawłowskiego, liczył około 40 sztuk. Sarny te łowiono w czasie zeszłorocznych, olbrzymich śniegów ściganiem na ski, aż do umęczenia. Daleka droga, a zapewne i uszkodzenia zewnętrzne i wewnętrzne w czasie łowów tych pięknych zwierząt, były powodem, że w drodze i tu na miejscu w krótkim czasie zginęło 15 sztuk. W każdym razie z tego gatunku posiadamy obecnie sztuk 58, widziano już kilka kóz obecnie sprowadzonych, mających po dwoje młodych, lecz dokładnie ilości obliczyć nie podobna. Pygargusy odznaczają się pięknie uperlonymi, rozwartymi, dużymi rogami i silną budową ciała. Gdyby udało się krzyżowanie tychże z naszemi sarnami, których w parku jest 60 sztuk, może i nasza rasa nabrałaby ich zalet. Mimochodem nadmieniam, że pygargusy budową i rozwartością rogów przedstawiają nietylko podobieństwo, ale pokrewieństwo z sarnami w pewnych częściach gub. kijowskiej. W zimie 1908 r. sprowadziliśmy również 30 sztuk bielaków; o wyniku aklimatyzacji na razie nic pewnego powiedzieć nie mogę.

Dla całości obrazu naszych usiłowań aklimatyzacyjnych wspomnę jeszcze, że otrzymaliśmy zeszłej zimy z majątku pp. Uwarowych z Emilczyna bobry, dla których przygotowano na budowę żeremisk odpowiednie miejsce nad Kropiwną; rezultaty jeszcze nie znane.

Głuszce trzymają się stale w Pilawinie z wiosną; na tokach bywa kogutów około 10; w zeszłym roku widziano na tokowiskach niezwykle dużo kur, które dość późną wiosną nadleciały do nas.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Romuald Sokalski.

Z mozajki dziczej.

Pod tym tytułem będziemy umieszczać opisy polowań na dziki i ciekawe zdarzenia będące z tym grubym zwierzem w związku. Szanownych naszych Korespondentów, prosimy o utrzymanie przy życiu tej zajmującej każdego myśliwego kroniczki, przez nadsyłanie nam przeznaczonych dla niej artykułów.

(Śmiałość dzików).

Jakkolwiek okolica nasza — powiat rohatyński i brzeżański obfituje w dziki, — jednak nie czytamy w »Łowcu« wiadomości z tutejszych wrażeń myśliwskich i przygód łączących się tak często z tem uroczem polowaniem. Czy

wrodzonym wstrętem nemrodów do pióra tłumaczyć sobie to należy, czy może tą okolicznością, że mało u nas myśliwych poluje z niezawodnymi dziczarzami — dość, że tymi motywami kierowani, postanowiliśmy w najbliższej przyszłości podzielić się z braćmi z pod znaku św. Huberta niejednem wspomieniem, niejedną przygodą lub pełnemi wrażeń a i groźnemi niejednokrotnie przejściami wśród naszych polowań na dziki.

Na razie czerpiąc temat z bardzo niedawna, bo z wczorajszego wieczora, piszemy parę słów o nieprawdopodobnej śmiałości dzików.

W pogodny, piękny wieczór jesienny wybraliśmy się z humorem i wesoło, we dwójkę, na zasiadkę na lisa. Wśród zapadającej spokojnej wieczornej ciszy wsłuchiwaliśmy się z przyjemnością w szmery idących na oziminę zajączków cieszyliśmy się ich ilością, siedząc pod ścianą gęstych zapustów, o jakie 200 kroków od siebie. Niejeden szarak bujał już po oziminie przed nami, gdy padło 5 strzałów do włóczącego się przed nami kota. Jeden z nas, który pierwszy miał dać sygnał do powrotu, ruszył już ze stanowiska, lecz zanim parę kroków postąpił, usłyszał nagle idące dziki, nie dalej jak o 30 kroków od siebie. Nieprawdopodobnem wydało się jemu, jak i każdemu z czytających, by po kilku strzałach, z których ostatni padł ledwie kilka minut temu, dziki nie lękały się śmiało iść ku polu. Szły one ku obok znajdującemu się łanowi ziemniaków.

Sekunda czasu — nabój zmieniony — myśliwy już klęczał ze strzelbą przy twarzy pod ścianą zapustu. Dziki były tuż pod krajem — jeszcze sekund parę, gdy na odległość najwyżej 3 metrów wysunął się z gęstwiny czarny łeb tęgiego wycinka. Zmrok już był zupełny — dzik chwilę przystanął — prawdopodobnie zobaczył lub zwietrzył wroga, czasu do namysłu nie było — padł strzał...

Z dzikami spotykamy się dość często, a jednak zadziwia nas niepomiernie ta nie do wytłumaczenia zuchwałość dzicza, bo ani wiatr ani teren nie mógł mylić ich orjentowania się co do kierunku i miejsca, w którem padały strzały — chociaż, nawiasowo mówiąc, godzilibyśmy się na taki brak orjentacji u nich i życzylibyśmy go sobie niejednokrotnie.

15. października 1910.

W. A.

(Wyśniony odyniec, przeprawy z dziczym nieboszczykiem).

Było to w lutym w miejscowości K... przed laty mniej więcej 10-ciu. Śliczny dzień zimowy, mróz, śnieg lśni ogniem drogich kamieni. Stajemy na stanowiskach. W miocie otropiony odyniec.

Otropiony odyniec! Co za czarowne dwa słowa! Z jakiem to uczuciem staje się przed miotem, jak niecierpliwie oczekuje się początku gonu, a później chciałoby się, by trwał w nieskończoność.

Zanim nagonka ruszyła podchodzi do mnie sąsiad z lewej strony, p. P., z manierką wódki, a był mróz siarczysty. Odmówiłem tego ożywczego haustu, gdyż czułem lekki ból głowy. Na to powiada mój sąsiad: »Wiesz, chciałem zrobić tylko próbę, śniło mi się bowiem dzisiejszej nocy najwyraźniej, że polowaliśmy na otropionego odyńca, że stałem koło ciebie z lewej strony, żem cię przed miotem częstował wódką, której pić nie chciałeś, że wyszły między nas najpierw sarny z ładnym rogaczem pośrodku, że wyszedł wreszcie na mnie odyniec, którego zabiłem; jak widzisz sen sprawdza się dotychczas co do joty«.

Nie było czasu na refleksje, gdyż doszło naszych uszu dalekie granie rogu, znak, że nagonka ruszyła. Przedemną małe wzgórze porosłe młodą dębiną, między nią leszczyna i grabina, nie tworząca jednak zwartego gąszczu, dalej za wzgórzem jar. Strzał wszędzie możliwy, nawet dość wygodny na odległość jakich 40 kroków.

Cisza. Zdala jak echo tylko dochodzi głos nagonki. Czasem tylko ciepło słonka okruchę śniegu z gałązki dęba na dół strąci, wiaterek w suchych liściach zaszeleści, psotę czyniąc czuwającemu uchu myśliwego!

Idzie!!... Nie, to sarny, spuszczają się z góry czwórką i wychodzą koło mnie na lewo, między niemi rogacz... a więc wszystko dotąd według w nocy wyśnionego programu. Szczęśliwy ten P..., w czepku się rodził!

Nagonka coraz bliżej, jest już w górze nad nami. Lada chwila zobaczę czapki chłopców wychodzących na wzgórze. Już sypią się zajączki, znak końca gonu. Ładne tropienie« mówię do siebie«, »niech ich djabli...« Nie było czasu na dokończenie przekleństwa. Przedemną robi się krzyk nagonki i słyszę wołanie idącego w niej gajowego: Idzie dzik na linję, pilnuj, pilnuj na linji!...

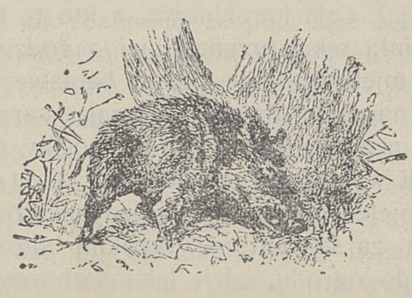
Tym razem idzie... ze wzgórza truchtem spuszcza się wprost na mnie czarny borów monarcha, kłami błyska. Mam jego czoło na muszce, bawię się wprost jego życiem. W chwili jednak, gdym ruszał cyngla, zwierz mnie ujrzał i tak zwinnie na bok uskoczył, że mi wypadł ze strzału, dopiero druga kula powaliła go o ziemię...

Sen więc sprawdził się co do faktów, pomylił się tylko co do aktora, mającego główną rolę odegrać w epilogu krwawego dramatu, a ta pomyłka na mą korzyść wypadła.

Odyńca tego, na me nieszczęście, kupiłem sobie od zarządu w K., by mieć z niego łeb i skórę. Mieszkałem stamdąd 3 mile, a wybrałem się najulubieńszym mi w zimie ekwipażem, prostemi saniami. Co miałem z dzikiem w drodze kłopotu, trudno mi opisać. Śnieg był świeży, wielki, w nim wązki tylko, źle ubity ślad. Spotykałem co chwila fury wiozące okowitę z gorzelni w M. Każde wymijanie kończyło się wywaleniem się moich sań z dzikiem do rowu. Wyciągaliśmy go tak cztery razy, we trójkę, t. j. mój furman, chłop od fury z okowitą i ja, a było co dźwigać. Wreszcie się ściemniło i rozszalała się zadymka; wjeżdżamy do rowu, wywalamy się znów do góry nogami, nie wyłączając i koni. Wydobywamy się wreszcie, ale dzika ruszyć nie jesteśmy w stanie. Zostawiam więc go w rowie i wracam do domu. Na drugi dzień dopiero odkopali mi go i przywieźli moi ludzie.

Taka to historja o wyśnionym odyńcu, co i po śmierci nie przestał być... świnią.

Albert Mniszek.



Obrazki z podróży.

Wspomnienia z dawnych i spostrzeżenia z nowych czasów.

(Napisał Józef Korczak Sylwanus — z nad Tyśmienicy).

I.

Mieszkając lat dwadzieścia kilka w Czechach, między zdrojowiskami światowej sławy — w kraju z ogromną kulturą, oswoiłem się z wszystkiemi wymaganiami naszego, że się tak wyrażę, błyskawicznego czasu.

Oswoiłem się o tyle łatwiej, że urządzenia nowoczesne idąc ręka w rękę wszystko tu ułatwiają. Żyje się tu zatem, wśród tych nowoczesnych stosunków, wcale wygodnie, korzystając na każdym kroku z coraz większych ulepszeń..

W jednym tylko kierunku coraz gorzej w epoce teraźniejszej, — niema na nic czasu — bo świat dzisiejszy wirując w szalonym galopie za fortuną, porywa wszystko ze sobą w kankanowy taniec około »złotego Cielca«, nie dając ani chwili wypoczynku. Najspokojniejszy obserwator, stojący na uboczu, nie może utrzymać się na biernem swem stanowisku, bo albo uniesiony zostanie przez fale czasu — albo sam usunąć się musi.

Lecz gdzie uciekać? — jeżeli dziś niema ani miary czasu, ani przestrzeni? Patrząc na to rok po roku, ćmi się mi w oczach, ból chwyta mię za pierś, a pytanie »Quousque tandem???« dzwoni mi pogrzebowym tonem w uchu; cóż dziwnego, że się nieświadomie wymknie życzenie: Bodajto być teraz w naszej, jak to mówią: »deskami zabitej Galicji«. — O ile Galicja na tę nazwę zasługuje — lub nie, nie mojem zdaniem jest konstatować — cytuję tylko jej przydomek zasłyszany w Galicji samej, z ust jej mieszkańców. Krytykować łatwiej niż przyczynić się do polepszenia. Z tego też powodu, niech mi będzie wolno spostrzeżenia w kraju mej tęsknoty zrobione, w gawędce tej umieścić.

Z pierwszemi promieniami kwietniowego słońca — z pierwszemi jaskółkami, ogarnia mię ogromna tęsknota za krajem ojczystym, za kątkiem rodzinnym i za dźwiękiem mowy polskiej.., — choć urok ten, który to ongiś miało gdym patrzył na świat przez różnobarwne szkła oczyma młodości — dawno zbladł... choć w tułaczce po świecie, mocą postępu, inne pojęcia mi się narzuciły, jak były te, które patrjarchalno-konserwatywnie nam wszczepiano.

Oj! Rzewne to wspomnienia:

Miasteczko małe, jak wiele innych, domeczek z gankiem, trochę pochylony, mchem porosły już gonty. Z frontu wielkie podwórze, na którem po szkole grywaliśmy w »kiczkę« albo w »piłkę«. — Jedno i drugie własnego wyrobu. Piłka owego czasu robioną była z odcinków starych kaloszów, które obwijano na kawałeczku cukru i kilka dni gotowano w mleku, aż guma w pół płynnym stanie, w masę ugniatać się dała. Palestrą podbita »kampa« świszczała w powietrzu jak kula karabinowa, a kto tę kampę złapał, temu świerzbiała ręka przynajmniej z godzinę; — od wirującej kiczki mieliśmy sińce i guzy, ba nawet wierutne rany ponosiliśmy na polu chwały, staczając samorodną drewnianą bronią uzbrojeni, walki »powstańców z moskalami«. Dowódcy byli wybierani na wiecach, »Veto« miało swe prawo — a niejeden krwawy pojedynek odbył się z całym sekretem za stawem, w wysokim sitowiu. Rannych wynosiliśmy do ogrodu, gdzie lekarz obozowy ordynował obwiązanie, — z marchwi lub czarnej rzepy.

Sad za domem, był dla nas »krajem obiecanym« — niestety nie mogliśmy doczekać się Mesjasza, któryby nas tam wywiódł. Zadowalaliśmy się zatem gniłkami, któremi się sadownik, tytułem haraczu, opłacał. Dalej na łące po sianokosie, urządzaliśmy gonitwy do mety; zwycięzca dostawał wieniec z liści dębowych, lub pióro sokole. Tu strzelaliśmy z łuków własnego wyrobu. Dalej staw — w lecie uczyliśmy się pływać, w zimie ślizgawka, — zrazu na podeszwach, później na drewnianych, do nogi przypasowanych deszczułkach, przez które przeciągaliśmy drut telegraficzny. Łyżew takich, nieraz bardzo sprytnie zrobionych, nie dalibyśmy byli za »Halifaxy«. W ogóle, kto się wtedy o to troszczył, czem my się bawić mamy? Pieniędzy od rodziców nie dostawaliśmy, »bo chyba jakich zbytkówby chłopcy kupili« mawiano, — więc trzeba było sobie wszystko samemu zrobić. Kozik miał każdy, narzędzi znalazł ten i ów w domu, a inne materjały wyszperaliśmy zawsze. Ostatecznie były i odpusty — to był czas żniw dla nas. Ten dostał z odpustu »drumlę«, drugi harmonijkę, trzeci jakąś trąbkę, a któryś z szczęśliwszych nawet »cwancygiera« albo przynajmniej »szyplika«. Zbytkami nas nie psuto, — no i wyrastaliśmy, i bębniliśmy czy to Xenofonta, czy Liviusza, czy Homera.

Były to czasy! Dawne ale pamiętne!

Śmierć przewczesna ś. p. ojca mego, położyła dla mnie tamę wszystkim dziecinnym marzeniom. Proza życia w całej pełni wystąpiła, — trzeba się było albo ugiąć, — albo złamać. Chłód, głód, lekcje po za domem, obowiązki i konieczność znalezienia własnego kawałka chleba, wypełniły czas podrostka. W wakacje pisałem u »mecenasa«, więc tylko Święta Bożego Narodzenia były moje. Z sercem pełnem tęsknoty i rozczulenia jechałem wtedy do matki staruszki, troskami przygniecionej. Łzami skrapiałem drżącą rękę mej rodzicielki na progu rodzinnego domostwa, wszystko w tej chwili zapominałem i błogo mi było jak w niebie. Przez tych dni kilka, Matka każde życzenie z ócz mi wyczytać chciała. Dostawałem kawę »z kożuszkiem«, barszcz z uszkami, gołąbki kapuściane wysmarzane, i osobno dla mnie pieczone przekładańce.

Wieczorem — przy samowarze — oddawała mi Matka uroczyście klucz od bibljoteki, ogromnej szafy dębowej, (sacrosanctum) — spuścizna po ś. p. Ojcu, skąd wydobywałem stare polskie dzieła, klasyków naszych, a nawet dość rzadkie foljanty.

Wtedy przenosiłem się duszą w czasy naszej bohaterskiej przeszłości — porównywałem i marzyłem. Śnieg nieraz aż po drugą szybę sięgał, wilki wyły na polach, a stary »Zagraj« najeżywszy sierść, skomlał żałośnie u moich nóg. I on przypominał sobie smętnie, że starszy pan jego, brał w dawnych czasach z kołka kabzlówkę... Więc i ja nazajutrz raniutko szedłem z Zagrajem wilki tropić.

Wąsik maleńki zaczął zaledwie się zasiewać — gdy stanąłem w obczyźnie na stanowisku. Lata minęły... nim znowu domek zobaczyłem. Pochylił się jeszcze więcej i schował się wstydliwie za nowemi kamienicami...; podwórza, ogrodu, łąki i stawu już nie było; — wszystko zabudowali; Matka już nie wyszła do ganku powitać, samotnie godziny w fotelu spędzając. I znowu wypłakałem łzy tęsknoty na łonie Matki ukochanej.

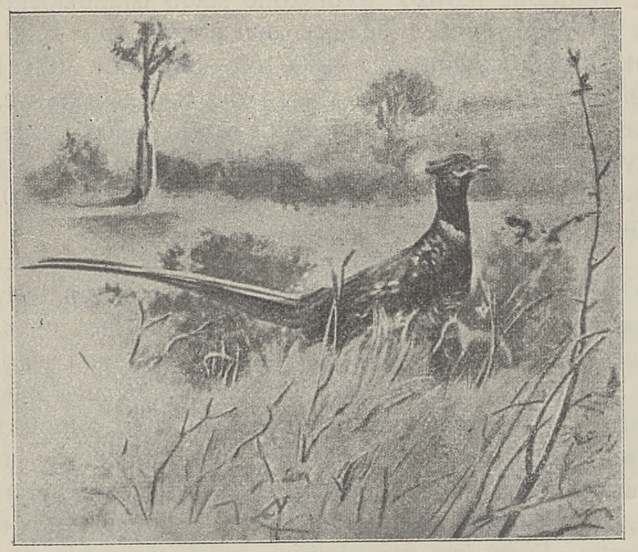
Jaskółki wróciły — i przy pierwszych promieniach słońca kwietniowego domek osamotniał na zawsze! Ile trosk o dziatwę, ile miłości macierzyńskiej między tymi

ścianami mieszkało — niktby tego na nich, dwa dni później, nie wyczytał. — Proch jesteś!... Wszystko się skończyło — nie było już rodzinnego kąta — tylko pamięć miłości i wspomnienia dziecinne wyniosłem z ojczystej ziemi, która mnie wygnańcowi nic na drogę dać nie mogła.

Od tej chwili rokrocznie w porze wiosennej tęsknota ta wraca; — darmo się jej opierać. — Tajemniczy wpływ jej przypomina mi prawie zawsze zasady nauki indyjskich brahmanów o metampsychozie — wędrówce dusz — i zdaje mi się, że z każdego do życia budzącego się kwiatka, lub ze szemrania strumyka, albo ze szmeru powiewu wschodniego wiatru, duchy ojców do mnie przemawiają.

Ukołysany marzeniem zabieram się bez życzeń, bez celu do wędrówki po ziemi ojczystej, zbierając wrażenia.

(C. d. n.)



EDWARD SCHECHTEL.

O ŚPIEWIE PTAKÓW.

(Ciąg dalszy).

U większej części grup ptaków, zwłaszcza u tych, które mają dobrze rozwinięty aparat śpiewny, daje się zauważyć, że ten pierwotny głos jednopostaciowy, który w wielu wypadkach służy jako główny głos wabiący, specjalizuje się, że prócz niego wykształca się pewna ilość głosów, mających inne znaczenie.

Już u ptaków wodnych jest ten głos dość wyspecjalizowany, a mianowicie w ten sposób, że zależnie od wzruszenia, które głos wywołuje, właściwy głos w odmienny, a oznaczony sposób bywa zmieniany. Tak n. p. według Naumanna u Brodźca piskliwego (*Actitis hypolencos*) z rodzaju *Totaninae* takim głosem podstawowym jest świst, podobny do głosu zimorodka, o wysokim, czystym tonie, który daleko daje się słyszeć. Świst ten brzmi jak «hididi, hidih» i to wysokie «i» ulega, zależnie od uczucia, rozmaitym zmianom, jest krótsze lub dłuższe, bywa raz lub częściej powtarzane, przyczem ton może przybierać rozmaite barwy. Podobne zróżnicowania można spotkać także u kurki wodnej (*Gallinula chloropus*) i wielu innych, jak siewek (*Charadridae*) i wodnych (*Rallus*).

U śpiewających właściwych spotykamy najwyższy stopień wyspecjalizowania głosu. Prawie wszystkie tam należące gatunki mają wiele rozmaitych «wyrażeń», zupełnie różnych, co do znaczenia. Te rozmaite głosy tworzą razem pewnego rodzaju mowę, składającą z samych interjekcji, t. j. głosów będących pierwotnym wyrazem uczuć bez udziału świadomości i woli, z których i ludzka mowa, według teorji interjekcjonalnej, miała powstać. Zauważono przytem ciekawy, choć zupełnie naturalny szczegół, że mianowicie u rozmaitych gatunków tego samego rodzaju lub rodziny, występują głosy zbliżone do siebie brzmieniem, barwą, ułożeniem pojedynczych zgłosek i mające identyczne znaczenie. Jest to jeden więcej dowód potęgi czynnika dziedziczności w świecie organicznym i dowodzi naturalnego pokrewieństwa danych gatunków. Tak n. p. wydają rozmaite nasze zięby szczególne głosy przy wzlatywaniu i wogóle podczas latania, a także mają osobny sygnał ostrzegawczy w porze lęgowej. Podobne stosunki spotykamy u gajówek (*Sylvia*) i sikor (*Parus*). Te ostatnie tak charakterystyczne, ostre, urywane głosy wydają, że bardzo łatwo nie widząc po tem je poznać można. Szczególnie liczne modyfikacje wykazuje głos kosa (*Turdus merula*). Głosy te według Naumanna tak mniej więcej wyglądają: 1) Trelowane «srii» i «sriorii». 2) Głębokie, głuche »tak tak» lub »tuk tuk». 3) Wysokie, daleko brzmiące «tix tix tix tix tix tix». 4) Przyśpieszone «gaigiggiggiggi, gaiggiggiggiggi». 5) Często nieraz przez kilka minut powtarzane »tix». Zapewne, że niejeden z Szan. Czytelników, słysząc te głosy, inaczejby je wyraził, ale wyrażanie rozmaitych głosów zwierzęcych zgłoskami mowy ludzkiej jest dość indywidualne. Z głosów powyżej przytoczonych Nr. 1 jest zwykłem wabieniem, którem się kosy siedząc lub latając nawzajem zwołują. Głos 2 służy również do wabienia, ale zarazem do wyrażania radości lub zadowolenia, a także do zaznaczenia, że coś się zbliża niebezpiecznego, a więc oznacza zaniepokojenie, 3 oznacza blizkie niebezpieczeństwo. 4 słyszymy, gdy kos zrywa się do ucieczki przed jakimś wrogiem, a specjalnie w razie nagłego niebezpieczeństwa. Głos ten w połączeniu z «tak tak» jest sygnałem do ucieczki, który inne zwierzęta leśne zdają się rozumieć. Głos 5 jest głosem wieczornym, gdy kosy przestają śpiewać i siadają do snu na niższych krzakach, lub gdy lecą do wody.

Pomiędzy wyspecjalizowanymi głosami najważniejsze są sygnały przy wędrówce u ptaków przelotnych i przeciągających i głosy, nawoływania godowe (weselne) w czasie parowania. W obu wypadkach chodzi o zjawiska, które są bezpośrednio pożyteczne dla gatunku, a na ich wykształcenie wpływał bezpośrednio dobór. Pierwotne wabienie służy — jak to wyżej wspomniano — do wyrażania niezaspokojonego instynktu gromadnego życia i może być porównanem np. ze rżeniem za towarzyszami konia osamotnionego w stajni. Sygnał wędrówki o tyleby się różnił od tego wabienia, że wydają go ptaki żyjące gromadnie wtedy, gdy są razem, a więc bez jakiegoś specjalnego powodu. Lecąc gromadą powtarzają one ciągle ten sygnał, to wabienie, do którego ptaki się do pewnego stopnia przyzwyczaiły i który to sygnał powoduje, że ptaki nieświadomie trzymają się razem. To przyzwyczajenie do wabienia należy tak rozumieć, że ptak sam lecąc wabi, dając wyraz nieprzyjemnemu uczuciu samotności i chcąc zaspokoić zmysł gromadny, później zaś ruch w powietrzu połączony z fizycznem natężeniem współrzędnie (korrelatywnie) pobudza je do wabienia, choć nie zachodzi potrzeba tego. Już tu zauważę, że jeżeli głos nie uległ jeszcze zróżnicowaniu, lub tylko w nieczynnym stopniu t. z. że jeszcze niektóre tony służą do wyrażania kilku uczuć odmiennych, to jeszcze nie można mówić o ptaku, który lecąc wydaje głos, że on wabi, lecz trzeba raczej brać wszystko z punku wi-

dzenia nieświadomości, a przynajmniej jest jeszcze kwestja, czy on przyzwyczaił się wprzód do wabienia, a potem już sam lot działa na niego, czy może od tego ostatniego wyjść należy, gdyż ptaki odzywają się (wabią?) często wtedy, gdy wcale nie potrzeba. Inna rzecz, że te sygnały wędrówki mogą być i są ptakom pożyteczne, o czem poniżej. Przeciągające stadko zięb zwyczajnych (*Fringilla coelebs*) podczas lotu, a zwłaszcza przy wzlatywaniu, bez powodu dającego się zauważyć, wydaje szczególny głos wabiący (jipp—jipp). To samo wabienie z rozmaitemi zmianami spotykamy u innych gatunków tego rodzaju, jak u zięby jera (*Fringilla montifringilla L.*), dzwońca konopki (*Ligurinus chloris Koch*) i makolągwy zwyczajnej (*Cannabina sanguinea Landb.*), co jest dowodem, że chodzi o właściwość oddziedziczoną po tych samych przodkach. Interesującem jest również zjawisko, które myśliwy często obserwować może w jesieni i w zimie, że stadka nadzwyczaj ruchliwe, pełne życia i szczebiotu wędrujące z drzewa na drzewo, a złożone z rozmaitych gatunków, jak sikor (*Parus*), pełzaczy (*Certhia*), bargieli (*Sitta*) i królików (*Regulus*), bez przestanku wabią głosem cichym, świszczącym i że wszyscy członkowie takiego, tak mieszanego towarzystwa podróży, używają takiego samego, albo po największej części bardzo podobnie brzmiącego nawoływania. W mieście można przekonać się codzień wieczorem w jesieni i w zimie, jak stada wron, a zwłaszcza gawronów, ciągnąc na nocleg do zwykłych miejsc, bez przestanku nawołują się krakaniem. W dzień rozbite na miejscu stadka lub wprost na pojedyncze osobniki szukają żeru, pod wieczór zaś zbijają się w duże, nieraz olbrzymie stada, jakiś czas krążą kracząc bez przestanku, na które to wezwanie śpieszą ze wszystkich stron inni towarzysze, zwykle jeszcze kawki i wrony, aż wreszcie całe towarzystwo udaje się na nocleg. Przy tym locie wieczornym na nocleg, któryto lot można uważać za wstęp niejako do zjawiska przelotów i który zależnie od kierunku i siły wiatru odbywa się niżej lub wyżej, ale zawsze prawie dokładnie w jednym kierunku, ptaki chociaż się widzą wzajemnie i znają dokładnie cel i drogę lotu, jednak ciągle po drodze kraczą. Jest to wabienie, które przez przyzwyczajenie wkorzeniło się w naturę, może zresztą być wyrazem zadowolenia z licznego towarzystwa ptaków, które zaspokoiły instynkt gromadnego życia. Choć nieświadomie jednak te głosy są pożyteczne, gdyż służą do szybszego zbijania się stad, do których nieraz już w drodze przyłączają się nowi członkowie. Zależnie od pogody krakanie jest częstsze lub rzadsze, co dowodzi, że nie bez wpływu jest także uczucie ruchu w powietrzu.

Szczególnie doniosłe znaczenie ma wabienie podczas przelotów ptaków, które w tym wypadku możemy nazwać sygnałem wędrówki. Według naszych spostrzeżeń wędrówki większej części ptaków przelotnych odbywają się normalnie w wyższych regjonach, gdzie powietrze jest spokojne i nie zawiera wiele wilgoci. Przy niesprzyjających warunkach atmosferycznych opuszczają się odpowiednio niżej ku powierzchni ziemi, a gdy przeszkoda ustanie wznoszą się znowu wyżej. Nietrudno teraz zrozumieć, jak potrzebnem jest to ciągłe wabienie w czasie takich wędrówek podczas nieraz ciemnych i burzliwych nocy. To ciągłe nawoływanie i wabienie jest wtedy taksamo nieodzownem, jak wśród panującej mgły sygnały dla okrętów. Oto, co pisze o tych nocnych przelotach Gätke na podstawie spostrzeżeń w stacji na wyspie Helgoland: «W tej rozległej ciszy słyszy się najpierw pojedyncze ciche, «czip» drozda śpiewnego (*Turdus musicus*), a także tu i ówdzie czyściutki głos skowronka (*Allanda arrensis*) — potem znów jedna lub dwie minuty ciszy zupełnej, nagle przerwanej przez daleko brzmiące «ghiik» kosa (*Turdus merula*), po niem następuje wkrótce przeciągłe «tir-r-» szybującej gromady biegusów (*Tringa*) i — wabienie skowronków wzrasta szybko, co do liczby, dolatują zblizka i zdaleka głosy mniejszych i większych stadek zbliżających się i znikających — z chrapliwem »etsch» (w tłumaczeniu przytaczam to naśladowanie głosów z oryginalną niemiecką ortografją) dubeltów (*Gallinago media*) miesza się czyste «tüth» siewek złotych (*Charadrius auratus*), głośne, jasne «klü-üh» siewki siewnicy (*Ch. quatarola*), dziki, głośny krzyk wielkiego kulona stepowego (*Numenius arquatus*) wielorakie «schack-schak-schack« kwiczoła (*Turdus pilaris*), przeciągłe «zieh» zawojcy (*Turdus iliacus*) — potem pośpieszające, widocznie bardzo wydłużone stado islandzkiego biegusa (*Tringa canuta*) dające się poznać po setki razy szybko powtarzanem «tütt—tütt—tütt—tütt—tütt—tütt» i inne niezliczone mieszające się głosy świszczące, chrapliwe, kraczące, które przypominają wszystkie razem melodję kół skrzypiących u woza, a z których niektóre bardzo ostre, surowe widocznie pochodzą od czapli siwej (*Ardea cinerea*) i jej rozmaitych krewnych».

Jak widzieliśmy autor nie jest skłonny uznać instynktu płciowego za podstawę, ani choć za tło rozwoju instynktu śpiewnego tak, jak to czyni n. p. Wallce, lecz uważa, że najpierwotniejszem i najważniejszem znaczeniem jego było jako środka rozpoznawczego osobników jednego gatunku. Mimo to w rozprawie referowanej znalazłem zdanie, które według mego mniemania najwięcej jest zbliżone do prawdy i najdalej idzie, choć go autor nie przyjmuje wyraźnie za podstawę instynktu śpiewnego, choć tak się wyraża w owem miejscu: «Dość jest przykładów, które wskazują na pierwotne znaczenie głosu ptasiego i wykazują, że był on pierwotnie wyrazem jakiegoś dowolnego uczucia». Jeżeli tę zasadę przyjmiemy za podstawę — któreto stanowisko jest uzasadnione licznymi faktami — to kwestja jest już dość jasna i możemy powiedzieć, że — tak, jak to prawie wszędzie bywa — *veritas in medio*. Wszyscy badacze mieliby wtedy częściowo słuszność, i Darwin, ponieważ dobór płciowy odegrał niewątpliwie bardzo ważną rolę w kwestji rozwoju instynktu śniewnego i Wallce, który tę rolę przypisuje doborowi naturalnemu i Spencer, Hudson, Groos i inni, a to dlatego, że przyjąwszy za punkt wyjścia ogólnie uczucia wszelkiego rodzaju, chodziłoby nam tylko teraz o wyznaczenie roli pojedynczym grupom uczuć lub wprost pojedynczym uczuciom, o wyznaczenie stopnia, w jakim one wpływały na rozwój instynktu śpiewnego, różnicując pierwotny obu płciom jednako-właściwy głos. O znaczeniu więc pierwotnem nie można w ten sposób mówić, że było n. p. tego rodzaju, iż służyło tylko do rozpoznawania osobników tego samego gatunku, lub tylko do wzajemnego rozpoznawania obu płci tego samego gatunku, lub że było początkowo tylko oznaką wesołości i t. d. jak wyżej przytoczone poglądy opiewają, lecz niewątpliwie wpływały równocześnie rozmaite uczucia na wydobycie głosu z krtani, zarówno związane z życiem płciowem, jak i odżywianiem, zdolnością latania i t. d., a dopiero stopień wpływu na dalsze ukształtowanie się głosu był dopiero zależnym od doboru naturalnego i specjalnej jego formy, doboru płciowego, czyli innemi słowy dalszy rozwój w znacznej mierze zawisł od tego, czy dane nowe zróżnicowanie głosu było dla zachowania gatunku poży-

teczne (dobór naturalny) czy nie, lub specjalnie mogło mieć znaczenie w życiu płciowem (dobór płciowy). My zajmiemy się teraz właśnie tą ostatnią kwestją związku między życiem płciowem a instynktem śpiewnym.

(C. d. n.).



Korespondencje.

Monasterzec, w listopadzie 1910.

Jelenie. Pilchy popielice.

W korespondencjach moich z roku 1908. i. 1909 doniosłem o pojawieniu się jeleni w lasach podgórza samborskiego. Jelenie te — 7—10 sztuk — zamieszkały stale w lasach Spryni, należących do mieszczan miasta Sambora, a przechodziły tylko w lasy sąsiednie Monasterca i Zworu, nie zatrzymując się dłużej. Lasy korporacji w obszarze 1005 ha — w połowie o charakterze już górzystym, dość znacznie oddalone od siedzib ludzkich, zapewniały jeleniom spokojną ostoję i gdyby były miały ze strony właścicieli potrzebną ochronę i gdyby choć jeden z przeszło 30 mieszczan-właścicieli zaopiekował się nimi i okazał nieco zmysłu łowiecko-hodowlanego, jelenie te pewnie byłyby się tam utrzymały i rozmnażały.

Tymczasem tak nie jest. Odstrzał jeleni powierzono tam prostym pobereżnikom. I tak w roku 1908. i 1909. ubili oni dwa słabe byki, a mianowicie jednego ósmaka, jednego widłaka, a trzeci najsilniejszy byk — silnie postrzelony, uszedł farbując, w lasy sąsiednie i nie wrócił więcej. Obecnie pozostało tam jeszcze kilka tylko sztuk, przeważnie łanie i cielęta. Odstrzał młodych byków, z słabymi wieńcami nie jest mojem zdaniem — ani ze względu na szkody, któreby tych kilka jeleni w lasach składających się przeważnie z młodników i zrębów zaścielonych maliniakami i ostrężynami — wyrządzić mogły, ani ze względu na podrożenie mięsa w bieżącym roku usprawiedliwionym, a już całkiem nie rozumiem, dlaczego powierzono odstrzał ten ludziom prostym nie dającym gwarancji, iż n. p. nie będą strzelać do łań lub cieląt, nie posiadającym ani odpowiedniej broni kulowej, ani potrzebnych wiadomości do odstrzału tej szlachetnej zwierzyny Szanownemu Wydziałowi korporacji — w skład którego wchodzą i ludzie inteligentni — nie wiadomo zapewne, iż myśliwi angielscy i niemieccy, a i w naszym kraju, a nawet powiecie, wieluby się takich znalazło, którzy za strzał do jelenia, za zdobycie wieńca, setki koron zapłacić gotowi, a za pozwolenie bezpłatne odstrzału jelenia myśliwemu niezamożnemu, inteligentnemu, za wspomnienia z polowania na tak szlachetnego zwierza — dozgonną jego wdzięczność zaskarbićby sobie mogli.

Będąc w miesiącu wrześniu na wystawie łowieckiej w Wiedniu, — zobaczyłem w salce kraju koronnego Karyntji kilkanaście wypchanych popielatych zwierzątek, wielkości wiewiórek, jakoteż różne łapki do chwytania ich i śliczne szerokie kołnierze damskie, sporządzone z futerek tych zwierząt.

Pod drzewem i skałą — na których umieszczone były, widniał napis: »Der Siebenschläfer (Polhy)«.

Ponieważ w żadnej z innych sal i pawilonów nie widziałem tych zwierząt, więc zdawaćby się mogło niejednemu z oglądających wystawę, iż zwierzątka te są specjalnością tego kraju.

Tymczasem właśnie miałem sposobność przekonać się, iż gryzonie te i w naszych lasach żyją w dość znacznej liczbie. Syn mój, chcąc złapać żywą wiewiórkę, kazał leśnemu zrobić łapkę własnego pomysłu. Była to z wszystkich stron zabita, pół m. długa, paczka. W jednej z dłuższych ścian wydrążono otwór okrągły i umieszczono wewnątrz deszczułkę przy otworze, na której położono orzechy i inne owoce. Deszczułka była przymocowaną drutami do zasuwki — tak, iż przy najmniejszem obciążeniu deszczułki, ta zsuwała się na dół, pociągając za sobą zasuwkę. Łapkę umieszczono na jodle — na której widziano wiewiórki — w wysokości 4 m., a raczej zawieszono ją, jak obraz na gwoździu. Do otworu paczki przypierał konar buka. Pierwsze 2 schwytane wiewiórki uciekły, wygryzając nowe dziury. Dopiero, gdy całą paczkę i zasuwkę obito wewnątrz blachą, przyniesiono zaraz nazajurz łapkę z wiewiórką do domu i umieszczono schwytane zwierzątko w obszernej klatce wiewiórczej. Wkrótce, t. j. po 7 nocach schwytano 7 takich zwierzątek — które — ponieważ były popielate — syn uważał za młode niewylenione jeszcze wiewiórki. Ponieważ jednak w dzień spały, a nocą wyprawiały hałasy — zaglądnęliśmy do podręcznika i skonstatowaliśmy, iż to pilchy popielice (*Myoxus glis L.*, *Siebenschläfer*).

Pilch popielica (Koszatka większa) jest wielkości szczura i do niego podobna, lśniąco popielata, u spodu biała, z długim, na dwie strony uwłosionym ogonem.

Żywi się nasionami leśnemi, owocami, które to ostatnie trzyma przedniemi łapkami, siedząc na tylnych, jak wiewiórka. Ponieważ bardzo zwinnie łazi i żyje przeważnie na drzewach — ma wiele podobieństwa do wiewiórki i tworzy, jakby ogniwo między wiewiórkami a myszami.

U mnie żywiono je nasionami grabowemi, orzechami i śliwkami.

Pilchy popielice żywią się i uwijają przeważnie tylko nocą, dlatego bardzo rzadko je w dzień widzieć można. Na zimę wpadają w sen zimowy.

Łapka wyż opisana mogłaby mieć zastosowanie i do łapania kun, dlatego każę ją umieścić na przesmyku kun leśnych w nadchodzącej zimie.

Stan. Frankiewicz.

Uherce zapłatyńskie 22, listop. 1910.

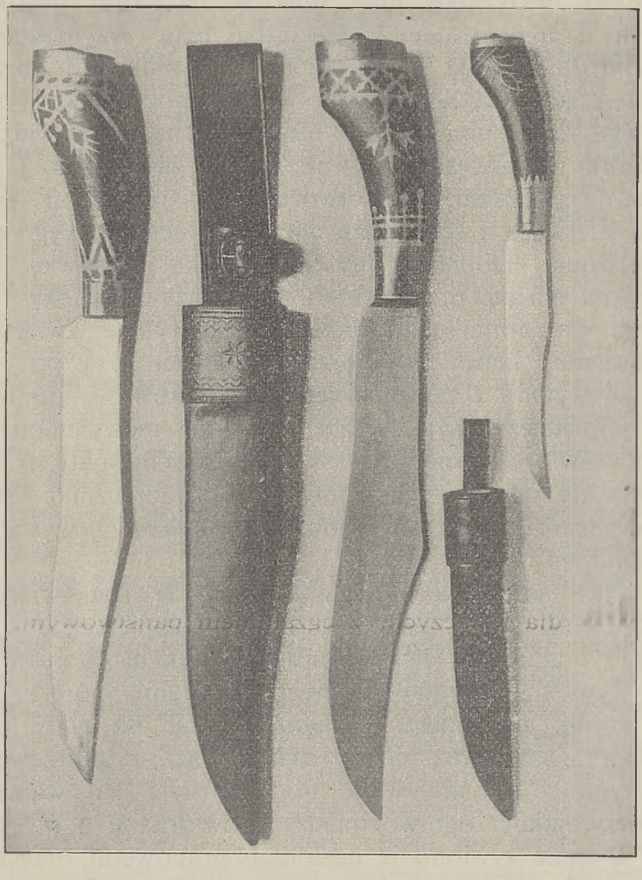
Dnia 19. listopada polowaliśmy u pana Alex. Kryśki w Winnikach ad Podbuż. Po bardzo silnej burzy nad ranem, dzień wietrzny, ciepły chwilami deszcz. Strzelb 11 rozkład: 26 zajęcy, 3 lisy, strzałów trudno było naliczyć. Dziki nie dały się wycisnąć na linję myśliwych, ale przełamały się w połowie miotu przez pogonkę i poszły wstecz, w lasy sąsiednie.

Wiktor Smalawski.

Wieliczka, w listopadzie 1910.

Będąc tego roku w Zakopanem, zwiedziłem doroczną wystawę prac uczniów c. k. Szkoły przemysłu drzewnego, zostającej obecnie pod kierownictwem znanego z swych prac twórczych arch. p. Stanisława Barabasza. Za-

chwycony wynikami nader sumiennej i wysoce artystycznej pracy profesorów tej Instytucji, podziwiałem popisowe prace uczniów i dałem wyraz moim wrażeniom w fejletonie »Nowin«, powtórzonym potem przez dzienniki warszawskie i lwowskie. Nie będę teraz zatem, ponownie opisywał owych ślicznie i pomysłowo, a praktycznie wykonanych mebli, które powinny się znaleźć koniecznie w każdem mieszkaniu myśliwego, lecz korzystam z uprzejmości Szan. Redakcji i pozwalam sobie zwrócić uwagę myśliwych naszych na noże myśliwskie i kordelasy pomysłu dyr. Stan. Barabasza, a dla lepszego zobrazowania dołączam fotografję modeli. Noże te wzorowane są na typie



ogromnie praktycznego noża używanego przez górali. Oryginalny kształt trzonka drewnianego, ozdobionego stylową inkrustacją metalową, ma tę zaletę, że nóż ten nadzwyczaj dobrze przylega do zaciśniętej dłoni i nie dopuszcza do skręcenia się ostrza przy kłóciu.

Samo ostrze, sporządzone masywnie, ma również kształt taki, że jak to widać na fotografji musi łatwo wchodzić w zwierzynę. Do noża należy pochewka skórzana, mniej lub więcej zdobna. Nóż ten i kordelas powinien stanowczo wyrugować istniejące u nas do tej pory wyłącznie produkty niemieckie i wszelkiego rodzaju »Jagdfreundy«. Sądzę, że umieszczona obok fotografja, więcej, niż moje słowa zachęci »braci myśliwych« do zamówienia sobie tego noża w Zakopiańskiej szkole przem. drzewnego.

Dr. Kaz. Szczepański, delegat.

Uwisła, p. Chorostków dnia 24. listopada 1910.

Dnia 15 i 16 listopada odbyło się polowanie w Białej u p. Leona Horodyskiego w 10 strzelb. Ogółem padło: 1 odyniec, 3 lisy, 4 rogacze, 140 zajęcy, 1 kuropatwa. Na mniejszy niż zwykle »rozkład« złożyły się w tym roku dwie przyczyny: polowanie na szarej stopie i nie dość celne strzały myśliwych, gdyż na brak zwierzyny nie można się było skarżyć zwłaszcza stan sarn bardzo piękny. Jedno to z pierwszych polowań w tym sezonie, więc to zapewne przyczyną, iż się gorzej jak zwykle strzelało!

W. C.



KRONIKA.

O zmyślności i przebiegłości wilków z jaką zdobywają dla siebie łup, świadczy najlepiej ciekawa przygoda, opisana przez nieznanego autora, w 17 numerze pisma myśliwskiego »Jagd und Wild«, w artykule p. t. »Z przeszłości łowieckiej Polesia«.

W dobrach ks. A. Radziwiłła w głębi puszczy, w okolicy Berezyny, budowano fabrykę. Pewnego dnia około południa doszedł do uszu licznych robotników okrzyk »wilk, wilk«! O 300 kroków od budowy ujrzano na łące spore stado świń, zaatakowane przez jednego wilka. Opadnięte przybrały pozycję obronną; skupiły się razem; silniejsze wysunęły się naprzód, a słabsze znalazły się w środku stada. Wilk, jakby onieśmielony dziarską postawą świń, nie rzucał się na nie, tylko zeskakiwał to z prawej, to z lewej strony. Nikomu z obecnych nie przeszło nawet przez myśl pobiedz po broń; każdy liczył na to, że świnie dadzą sobie same radę z napastnikiem. Napierane przez wilka stado ustępowało zwolna. Skoro zbliżyło się do składu desek wyskoczyły nagle z ukrycia trzy wilki i rzuciły się na świnie. Każdy z nich porwał młodego paciuka i szybko uniósł w stronę lasu. Pierwszy wilk, który wprowadził świnie w zasadzkę, podążył skwapliwie za nimi, aby wziąć udział w podziale łupu. Stało się to tak szybko, że nim obecni ochłonęli z zdumienia i chcieli przeszkodzić w uniesieniu zdobyczy, wilki zniknęły w gąszczach. Podziwiać należy z jakim sprytem obmyśliły one cały ten napad i z jaką dokładnością przyprowadziły go do skutku i to w biały dzień i w oczach znacznej liczby ludzi. W podobny sposób polują wilki na jelenie, sarny i inną pożyteczną zwierzynę, stąd też łatwo można sobie przedstawić, jak znaczne wyrządzają szkody w zwierzostanie; zwłaszcza, że z powodu wielkiej żarłoczności nieprędko zaspokajają głód.

Dzieło o Wystawie łowieckiej w Wiedniu. Ministerstwo rolnictwa, biorąc wzór z wydawnictw, poświęconych wszechświatowym wystawom, jak n. p. paryskiej z 1900 roku, (podobnie i nasza powszechna wystawa we Lwowie, w 1894 r. została opracowaną; dział myśliwstwa wyszedł z pod pióra Juliusza Starkla, b. red. »Łowca«) zamierza wydać pamiątkowe dzieło o wystawie łowieckiej. W ten sposób ci myśliwi, którzy nie mieli sposobności zwiedzić wystawy, będą mogli choć z tego dzieła mieć o niej jakie takie pojęcie, zwłaszcza, że pisma myśliwskie w ogólności podają zbyt skąpe opisy tej, tak interesującej nas, wystawy.

Ze statystyki myśliwskiej. W kalendarzu myśliwskim na rok 1911, wydanym staraniem red. pisma p. t. «Jagd

und Wild» spotykamy przy szczegółowem wymienieniu czasów ochronnych, obowiązujących w krajach, wchodzących w skład Austro-Węgier, ciekawe daty statystyczne, do myśliwstwa tych krajów. Nie od rzeczy będzie przytoczyć daty statystyczne myśliwstwa naszego kraju i porównać je z wykazami innych krajów austrjackich.

Z obszaru Galicji wynoszącego 7,849.252 ha, przypada na ziemię uprawną (role, łąki, sady)4.780.339 ha, na lasy 2,019.829 ha, pastwiska 776.030 ha, na wody (stawy, moczary) 20.859ha. Obszarów łowieckich liczy nasz kraj 9.534, z tego zwierzyńców jest 15, polowań własnych 3.597, a gminnych 5.922. Powierzchnia wszystkich obszarów łowieckich liczy 7,522.720 ha, z tego wydzierżawionych jest 4.812.154 ha, które przynoszą rocznie 306.578 kor. czynszu dzierżawnego. Na jeden hektar wypada zatem 0·06 kor. Kart myśliwskich wydano 3.382, a dochód z nich wynosi 25.631 kor. Służby łowieckiej posiada Galicja 8.382 ludzi.

Z zestawienia z podobnymi wykazami innych krajów, najbardziej interesująco przedstawią się nam porównania przeciętnych cen za jeden hektar wydzierżawionych polowań i ilości wydanych kart myśliwskich. Co się tyczy pierwszego, to w Galicji cena za jeden hektar jest najniższa, wynosi bowiem 0·06 kor., po niej idą: Bukowina (0·07 kor.), Kraina (0·14 kor.), Tyrol z Ziemią Przedarulańską i Pobrzeże (0·15 kor.), Karyntja (0·15 kor.), Styrja (0·26 kor.), Czechy (0·37 kor.), Solnogród (0·39 kor.), Morawy (0·42 kor.), Austrja Górna (0·44 kor.), Śląsk (0·45 kor.), Austrja dolna (0·71 kor.). Pod względem zaś ilości wydanych kart myśliwskich zajmuje Galicja szóste miejsce, a to po Czechach (33.879, opłaty z tak pokaźnej liczby wydanych kart wynoszą 174.905 kor.) Austrji Dolnej (13.998), Morawach (11.498), Styrji (10.364), Austrji Górnej (4.874). Najmniej wydano kart myśliwskich na Bukowinie, bo zaledwie 1.174.

Szkoda tylko, że nie podano wcale roku, z którego pochodzą te wykazy statystyczne, gdyż przez to tracą one znacznie na swej wartości.

Sprostowanie omyłek.

Do pierwszej części artykułu p. t. „Nowa ustawa łowiecka“, pomieszczonej w Nrze 23, zakradły się następujące omyłki druku:

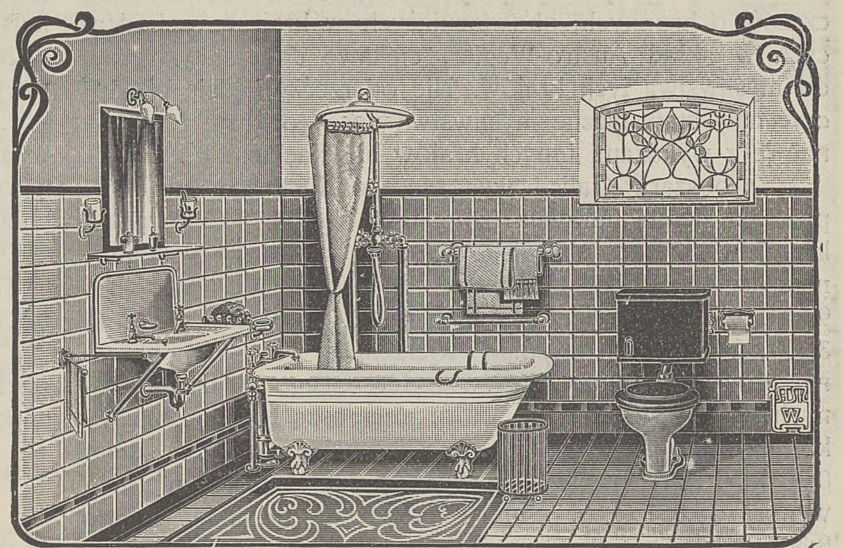
szpalta 2. wiersz 10. z góry: po wyrazie „rozrządzanie“ dodać „niema“.

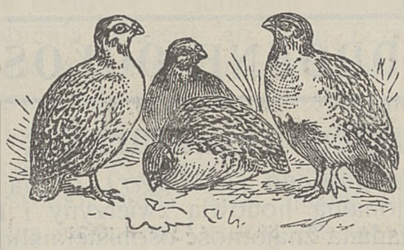
szpalta 3. wiersz 3. z góry: zamiast „Co co jeszcze i t. d.“ ma być „Po co jeszcze i t. d.“.

szpalta 3. wiersz 7. z góry: zamiast „§“ ma być „?“.

szpalta 3. wiersz 8. z góry: zamiast „przedlecie“ ma być „trzechlecie“.

DROBNE OGŁOSZENIA I INSERATY.





Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. — Redaktor odpowiedzialny: **Albert Mniszek.**

MICHAŁ WALICHIEWICZ

Rok założenia 1863.

we Lwowie, ul. Kopernika 2

poleca swój

Skład i pracownię siodlarsko-rymarską

Wielki wybór zaprzęgów, siodeł, koców, czapraków, batogów, kufrów, torb i wszelkich przyborów do podróży.

Dla gospodarzy, strzelców i turystów kamasze i sztylpy. — Wszelkie zamówienia i naprawy po cenach nizkich.

Skład tłuszczów i lakierów wyrobu krajowego do odnawiania skór.

Rok założenia 1863.

Kotły, zbiorniki, boilery, rekonstrukcje żelazne, centralne ogrzewania, wodociągi

wykonuje wzorowo

FABRYKA
URZĄDZEŃ MECHANICZNYCH

DZIAKIEWICZ i Ska

Lwów, ul. Młynarska 5. – Telefon 323.

Reperacje wszelkich urządzeń fabrycznych.

Ceny konkurencyjne.

Pracownia Ruszników

Szadkowski

WE LWOWIE
plac Bernardyński l. 3

POLECA

Broń myśliwską wszelkich systemów oraz przyjmuje reperacje broni po możliwie nizkich cenach.



Kapelusze, czapki, buty i berlacze do polowania

Rękawiczki i pończochy.

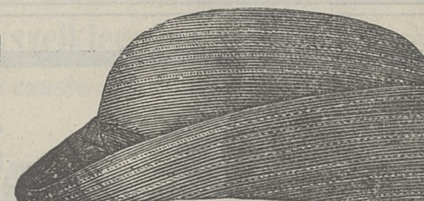
Kalosze petersburskie

poleca

Kazimierz Bielczyk

Lwów, Halicka 15.

Cennik illustrowany na żądanie opłatnie.





Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów, Zimorowicza 14.